№ 6. Warszawa, dnia 30 Stycznia (11 Luty) 1888 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

MIŁOŚĆ WŚRÓD GWIAZD.

POGADANKA PSYCHOLOGICZNA

Kamila Flammariona.

(Dokończenie.)

Unosili się coraz wyżej w tym śnie gwiaździstym, gdy nagle jakiś szelest głuchy, do świstu podobny, przerwał marzenia. Zaczęli nasłuchiwać, wychylając się złódki, szmer nie pochodził z ziemi... Byłyżby to elektryczne oddźwięki zorzy, lub też zerwała się burza tam, na wysokościach? Błyskawice ukazywały się i gasły... Jerzy nasłuchiwał, wstrzymując oddech w piersiach. Szmer zdawał się przybliżać... To gaz ucieka z balonu.

Być może, iż klapa otworzyła się sama, czyli też przez nieuwagę nacisnęli sznury.

Młody człowiek pierwszy poznał przyczynę groźnego szmeru, poznał ją z przerażeniem, gdyż niepodobna było zamknąć klapy. Spojrzał na barometr, zwolna idący w górę, nie ulega już teraz wątpliwości najmniejszej, że balon się obniża. Spadek zrazu nieznaczny, lecz nieunikniony, wzmagał się z każdą chwilą. Blaski zorzy północnej odbijały się u ich stóp w czystem zwierciadle jeziora.

Balon znajdował się już teraz o trzy tysiące metrów nad ziemią.

Na pozór spokojny, nie łudząc się jednak możliwością ratunku a nawet oddalenia katastrofy, aeronauta wyrzucił dwa worki balastu, potem książki, mapy, narzędzia, aż w łódce nic już nie pozostało. Wszystko to jednak zmniejszyło ledwie na chwilę szybkość powietrznej jazdy. Spadali znowu w szalonym pędzie, nad powierzchnią jeziora zerwał się wicher i pędząc z dołu w górę, wył przeraźliwie.

Niby miotany burzą, balon zakręcił się w kółko, na bladą twarz Spera musnęły usta dziewczyny, zsiniałe ręce znalazły się w jej dłoniach...

— Mistrzu mój! skarbie! kocham cię! — zawołała Iclea i odgarnąwszy sznury przepadła w ciemnościach.

Balon popędził w górę jak strzała. Spero był ocalony.

Zapieniła się woda, głuchym łoskotem przerywając nocną ciszę. Pijany z bólu i rozpaczy z nastroszonym włosem, Jerzy wytrzeszczał oczy, ale napróżno, gdyż nic zupełnie dojrzéć nie mógł. Znalazłszy się o tysiąc metrów po nad ziemią, chwycił za sznur od klapy, w nadziei, że spadnie blizko ukochanej, lecz sznur nie funkcyonował. Próżne poszukiwania... Namacał tylko jakiś kwiatek, który przyczepił się do sznura, listeczki pełne woni, oglądał sznury, szukając na nich śladu jej rąk, położył dłonie na tych samych miejscach, których przed chwilą dotykała ona i młynkując w powietrzu spadł na ziemię.

Łódź rybacka, jedyny świadek dramatu, skierowała się niebawem w stronę gdzie zniknęła dziewczyna; litościwi ludzie odnaleźli ją i zabrali, Żyła jeszcze. Pomimo wszelkich starań, gorączka nie puściła swojej zdobyczy. Rankiem już, zawinąwszy do portu, rybacy zanieśli nieprzytomną do swojej chatki.

— Jerzy! — szeptała ścicha — Jerzy!

Nazajutrz, gdy w wiejskim kościołku odezwał się dzwonek, powtórzyła umierająca słabym głosem.

— Jerzy, Jerzy!

Znaleziono jego ciało w formie bezkształtnej masy dość daleko od brzegów; upadek z tysiąca z górą metrów wysokości zaczął się nad jeziorem, lecz ciało zachowując szybkość horyzontalną w jakiej podążał balon nie biegła prosto lecz w kierunku ukośnym, jak gdyby sunęła się po długiej nitce śladem balonu, a spadłszy masą wyrzuconą z nieba na łąkę, u wybrzeży odbiło się na miękkim gruncie i potoczyło się o całe dwa metry dalej.

Kości były utarte na proszek, a mózg wyskoczył z czaszki.

Zaledwie usypano świeżą mogiłę, obok niej rybacy musieli wykopać drugą; Iclea umarła, powtarzając słabym głosem:

— Jerzy! Jerzy!

Jeden kamień kryje dwie mogiły, jedna wierzba osłania je swym cieniem. Mieszkańcy wybrzeży

jeziora Tyrifiorden zachowali w sercach smutne wspomnienie katastrofy, która stała się legendową, a pokazując turystom grób młodej pary, budzą echa przeszłości, rozwianej jak sen.

VI.

Wieczny postęp.

Dnie, tygodnie, miesiące, pory roku i lata upływają jednostajnym biegiem na naszej planecie, a pewno i na innych. Dwadzieścia już razy Ziemia odbyła doroczną wędrówkę naokoło słońca, od dnia w którym Opatrzność w nader tragiczny sposób, zamknęła księgę rozpoczętą ledwie od roku przez dwoje młodych; szczęście ich trwało krótko, zgasło w zaraniu niby zorza.

Zapomnieliśmy o nich, aż dopiero niedawno na posiedzeniu hypnotycznem w Nancy, spotkałem sławne„ medium" z pomocą którego uczeni badacze akademii Stanisława, doszli do rezultatów prawdziwie zdumiewających, głośnych w naukowym świecie od lat kilku.

Nie pamiętam już nawet z jakiej racyi rozmowa zeszła na planetę Marsa.

Przedstawiwszy jak najdokładniej opis malowniczych brzegów morza, znanego w astronomii pod nazwą oceanu Keplera, i wyspy na tymże oceanie, nie pomijając najmniejszego szczegółu krajobrazu czerwonawej roślinności, otaczającej brzegi skał podmywanych przez fale, odpierające skutecznie wściekłość morskich bałwanów, medium zbladło i poniosło rękę do czoła. Z zamkniętemi oczami, ściągniętemi brwiami, zdawało się chwytać myśl, która ucieka.

— Patrz — krzyknął doktor B. — patrz ja żądam.

— Pan tam masz przyjaciół — rzecze do mnie medium.

— Wcale się nie dziwię — odpowiedziałem z uśmiechem. — Wszak pracuję dla nich.

— Przyjaciele o panu mówią.

— Ho! ho! znają mnie?

— Tak.

— Jakim sposobem?

— Znali pana tutaj.

— Tutaj?

— Tak, na Ziemi.

— Ah! Jakże dawno?

— Nie wiem.

— Czy dawno mieszkają na Marsie?

— Nie wiem.

— Czy są młodzi?

— Tak, to kochankowie, którzy się ubóstwiają.

Obraz młodej pary przedstawił mi się jak żywy, zaledwie o nim pomyślałem, medium krzyknęło.

— Tak to ci sami!

— Zkąd możesz wiedzieć?

— Widzę... te same dusze, te same barwy.

— Jakto, te same barwy.

— Dusze są światłem.

I dodaje po chwili.

— A jednak jest różnica!...

To powiedziawszy, medium umilkło, na sfałdowanem czole znać było pracę myślenia.

Nagle twarz odzyskała spokój, rozjaśniły się rysy a słaby głos wyszeptał:

— On jest teraz kobietą, ona mężczyzną. Kochają się jeszcze bardziej niż na Ziemi.

Jak gdyby nie pojmując znaczenia tych wyrazów medium zdawało się namyślać, w wykrzywionych muskułach twarzy, czytałem straszny wysiłek, potem zapadło w katalepsyę z której doktor B. uwolnił je niebawem. Stan jasnowidzenia przeszedł i już nie wrócił.

Kończąc opowiadanie, podaję czytelnikom fakt bez komentarzy. Idąc za hypotezą przyjętą przez wielu hypnotyzerów, wnoszę, że albo medium uległo wpływowi mojej własnej myśli, gdy profesor kazał mi odpowiadać: lub może więcej niezależne, *oddzieliło* się istotnie i *widziało* po za sferą naszego ducha. Nie śmiem przesądzać.

Jednak z całą szczerością przyznać tu muszę, że zmartwychwstanie mego przyjaciela i jego lubej towarzyszki na Marsie, podobnym do planety, którą zamieszkujemy, lecz o wiele starszym i bardziej zaawansowanym na drodze postępu, jest dla badacza logicznem, naturalnem przedłużeniem ziemskiej egzystencyi, która zerwaną została.

Może Spero miał słuszność twierdząc, że materya tem nie jest, czem się wydaje, że to są wszystko kłamliwe pozory. Rzeczywistość jest niewidzialna, siła ducha nie ulega zniszczeniu, nieskończona wielkość jest identyczną nieskończonej małości, przetwory niebieskie nie są nieprzebyte, a dusze są zasiewem społeczeństw planetarnych. Kto wie, czy filozofia dynamiczna nie objawi nam kiedyś religii przyszłości?...

W ROZPACZY.

(Urywek.)

Szczęśliwym jest, kto w życia zawierusze,
Śród krwawych walk i szalejących burz —
Na drodze swej szlachetną znajdzie duszę,
Co dzieli z nimi niedolę i katusze;
Ah, taki człek — na pół zbawiony już!

Szczęśliwym jest, kto w ciężkiej poniewierce,
Gdy wrogi los z prostych go zepchnie dróg —
W goryczy dniach, szlachetne znajdzie serce,
Co zwalczać śmie zawistnych i oszczerce!
Nad takim już, z pewnością czuwa Bóg!

Szczęśliwym jest i ten, co gdy dokoła
Zgliszcz znajdzie ślad, gdzie ojców domek stał —
Usłyszy głos co o wytrwanie woła —
Napotka dłoń, co cierń mu zdejmie z czoła,
Ukoi ból — uciszy zemsty szał!

Lecz biada — ah, stokrotnie temu biada,
Co ufny w serc i świętych wspomnień moc,
Łamany wciąż, na duchu nie upada —
A płomień śni, gdzie iskra tleje blada —
I słońce śni — gdzie czarna włada noc.

I biedny — ah, stokrotnie żałowany
Winien być ten, co marząc szczęścia ślub —
Śniąc złoty więz — żelazne wziął kajdany,
I został w nich spodlony i złamany...

. . . .

Takiemu już, ciszę da tylko grób!

Zygmunt Grabowski.

NIE UTONĄŁ.

NOWELLA

NAPISAŁA

Zbigniewa Zmorska.

(Dalszy ciąg.)

W jednym z murowanych, gospodarczych budynków, przeznaczonym na sieczkarnię, na schodach prowadzących na górę, gdzie składają siano, siedzi stangret Jan i pisze.

Przed nim na wyższym nieco schodzie, leży gruby arkusz papieru, stoi obtłuczona flaszeczka z atramentem i kilka zatemperowanych piór gęsich, z których jedno przebiega szybko w jego palcach, po żółtawym, bibulastym papierze. Znaki przecież, które pozostawia tam za sobą, są równe, kształtne i pismo młodego stajennego można nazwać: pięknym, śmiałym, męzkim charakterem.

U góry arkusza napisał właśnie datę:

Wańkowce d. 10 Października 188...

i oto co pisze dalej w następującym sensie:

„Droga, ukochana Matko!

Jestem na miejscu mego przeznaczenia i piszę do ciebie, by cię uspokoić. Nie martw się, to pierwsze! Trafiłem nieźle, przedewszystkiem zaś nie żałuję mego postępku ani na chwilę. Znając mą dumę, pojmiesz łatwo, że zdobycie sobie własną pracą, kawałka suchego choćby chleba, czyni mnie już prawie szczęśliwym. Wiem, że odpowiesz mi na to, iż duma moja, zarysowująca sobie ongi przyszłość inną, nie może zadowolić się stanowiskiem, na jakiem znajduję się obecnie. To prawda. Lecz bywają stopnie różne upokorzeń i ambicyi i trzeba wedle możności brać od życia to zawsze, co nie poniża nas w oczach własnych. Rzecz prosta, że chowając się pod ukochanym dachem naszego rozkosznego dworu w Toporowie, ucząc się w szkołach a następnie w uniwersytecie, tem więcej później, wychodząc zeń z inżenierskim patentem w kieszeni, miało się piękne marzenia. Lecz po co wspominać to słowo. Iść naprzód, iść ciągle, nie oglądając się za cudnemi obrazami przeszłości, które huragan nieszczęść rozwiał jak fatamorganę, oto obowiązek człowieka, pragnącego zachować szacunek dla samego siebie. Pozostawszy po śmierci ojca bez majątku, a potem mimo patentu bez pracy, nie mogłem siedzieć dłużej u brata mego w Orłowie, gdy Niemcy utrudniali mi pozyskanie posady na którą czekając, straciłem pięć najlepszych lat życia. Majątek Kazimierza jest bądź co bądź własnością jego żony i ty jedna używać go masz prawo. Usposobienie skąpej, praktycznej mej bratowej, przypominało mi bardzo często to, co ja sam czułem jeszcze boleśniej, że w mych latach człowiekowi zdrowemu, nie wolno jest siedzieć bezczynnie u ludzi mających dzieci własne i średni majątek, niemogący udźwignąć podobnie nieużytecznych ciężarów. Niech ją Bóg za to błogosławi, tę bratowę moją, energiczną i złośliwą. Bez jej wiecznego przypominania mi mego obowiązku, nie byłbym może zdobył się na to, co wy tam zwie-

cie szaleństwem. A raczej, ty mateczko, nie byłabyś mnie puściła od siebie. Nie byłbym też widział jak wygląda z blizka mąż na fartuszku żony, grubo starszej, więc niekochanej, a despotycznej, zazdrosnej, nieznośnej! Mogłem się był złapać na podobne szczęście, ale teraz pokorne za to dzięki.

Przykro mi tylko, że ty chciałabyś mnie widzieć na wyższem jakiemś miejscu i musisz być bardzo niezadowoloną z mego postępku, azatem i ze mnie. Ale ja kontent jestem z siebie i to ułatwia mi znacznie życie. Na ekonoma się nie zdam. Nie lubię agronomii, ani się kształciłem w tym kierunku. Prowadzić cudzych interesów nie umiałbym zapewne dobrze, skoro nie potrafiliśmy własnych wyprowadzić na prostą drogę. Być czemś złem znaczy niczem. W kierunku obowiązków służebnych, posiadałem jeden tylko rzeczywisty talent, to jest sztukę obchodzenia się z końmi i ten należało mi spożytkować. Czy pamiętasz, mateczko, ów piękny, księżycowy wieczór w Orłowie, gdy powracaliśmy z podwieczorku w Dębinie, a ja powożąc kasztankami mego brata, wpadłem żartem na pomysł, pomieszczenia się gdzieś w dalekim nieznanym świecie za stangreta w magnackim jakim domu. Była to wesoła myśl, która zaświtała figlem w mej głowie, lecz seryo nie opuściła mnie już potem w zdesperowanem mem położeniu.

Jeśli już zresztą służyć było trzeba, to fach mój stajenny posiada także pewne dobre strony. Będąc ekonomem, musiałbym przestawać ciągle z grubą, ciemną prostotą gminu, która interesuje, posiadając nawet rodzaj pewien uroku z daleka, lecz w dłuższem, przymusowem obcowaniu, staje się morderczą.

Ta, gdzie jestem, wolno mi pozostać sobą. Stajnia moja, jak to bywa zwykle na wielkich dworach, odsunięta jest od reszty zabudowań folwarcznych, zwierzchność zaś nad luksusową stadniną, ma sam hrabia. Mam wprawdzie kilku stajennych chłopców około siebie, lecz to są moi podwładni. Prócz tego, żyję głównie z końmi, których stosunek do człowieka jest zawsze piękny i poetyczny.

Co do mych państwa (nie płacz tylko, odczytując to słowo) trafiłem wcale nieźle. Hrabia jest człowiekiem łagodnym, podobno rozumnym, cieszącym się w okolicy ogólnem poważaniem, co jak zrozumiesz, w obecnem mem położeniu znaczy bardzo wiele. Hrabina, młoda jeszcze kobieta, dość uprzejmą dla swej służby; więcej ją poznać nie miałem jeszcze sposobności. Dzieci mają czworo dorosłych. Syna Michała będącego w Odessie na uniwersytecie, którego jeszcze nie widziałem; najstarszą córkę za mężem w Warszawie i dwie młodsze w domu, piękne, dystyngowane panny: Antoninę i Annę, uroczego czarnookiego szatanka, ktory przed tygodniem w czasie spaceru, siedząc przy mnie na koźle, chichotał się tak rozkosznie, odcinając sprytnie jakiemuś kuzynkowi, że o mało nie zdradziłem się przed nią z mego incognito.

Tajemnica ta ciągła, jest mi bardzo ciężką. Ustawiczne trzymanie się na wodzy, by nie zdradzić swego pochodzenia, stanowi w swym rodzaju prawdziwą męczarnię.

Prócz tej jedynej dolegliwości, dającej się porównać do uczucia dobrowolnego się uciskania, chciej wierzyć, że rzucenie się takie w świat dla młodego posiada nawet powien urok.

Boleśnie mi, że ty tam opłakujesz me zdolności, w obawie, że inteligencya moja stępieje wśród grubych, prostych zajęć. Lecz na tym przynajmniej punkcie powinnaś być spokojną! Oliwa wybija się zawsze na wierzch. Jeśli tylko zdolności moje są istotnie prawdziwe, a osobistość posiada jakąś wartość, może i ja wypłynę kiedyśkolwiek!

W każdym razie, czyńcie tam z bratem co można, około uzyskania dla mnie posady. Może też uda się Kaziowi sforsować Niemców i zdoła uzyskać dla mnie jakieś miejsce. W takim razie daję ci słowo, że w przeciągu dwóch tygodni będziecie mnie mieli z powrotem w Orłowie. Tymczasem trzymam co mam i jestem zadowolony. Całuję ci ręce. Nie smuć się, droga matko i bądź o mnie spokojną.

Pisujcie często pod literami: C. C. poste restante w Czarnym Ostrowie, na grubym papierze i w jak najprostszej formie, niekompromitującej mej osoby. Jest to nieodzownem do zachowania mego incognito, bądźcie więc łaskawi zastosować się do tej konieczności.

Kazimierza z żoną i dzieciakami ściskam serdecznie.

Jan ***

Nakreśliwszy list ten, Jan z drugiego arkusza papieru wycina krzywemi, stajennemi nożyczkami, odziedziczonemi po ś. p. Piotrze, swym poprzedniku, kopertę dość pierwotnego kształtu i włożywszy w nią swe pismo, adresuje: przez Wołoczyska, Lwów, Kraków, Wrocław do Orłowa, pod S... w Księztwie Poznańskiem.

Wydobywa następnie z kieszeni laskę laku, lecz nie ma przy czem zapieczętować pisma, gdyż pod tę porę, przez zwykłą gospodarczą z ogniem ostrożność, nie znachodzi się w całem podwórzu kawałka świeczki, którąby się można posłużyć. Trzeba mu czekać do wieczora, t. j. do chwili, gdy rządzca i ekonomi poczną z latarkami kręcić się po gumnach. Obwija więc list tymczasowo w kawałek bibuły, kładąc go do kieszeni stajennej swej kurtki.

Jest też już na to czas wielki. Na bruku przed stajniami rozlega się turkot powracających z kościoła powozów, równocześnie też daje się słyszeć głos ekonoma, wołającego donośnie:

— Janie! Janie!

Jan zrywa się ze schodów, wybiegając przed stajnie, gdzie spotyka ekonoma, nadchodzącego szybko od strony pałacu.

— Do pana hrabiego, Janie! Jasny pan potrzebuje. Czeka w ganku!

Rozkaz ten wypowiedziany gromkim głosem, brzmi dobitnie. Zdaje się, że w pałacu musiało zajść coś ważnego, nie cierpiącego zwłoki. Młody stangret z swej strony, jest niezmiernie służbistym, wpada więc tylko jeszcze do stajni na chwilę, by pozostawić tam pióra i atrament, puszczając się następnie pędem w stronę pałacu.

Droga przez ogród jest znacznie krótszą, pędzi więc tamtą stroną. Dopadłszy przecież ogrodowej kraty, przypomina sobie nagle, że schodki rzucone tam stale, dla udogodnienia komunikacyi z pałacem, zabrano ztamtąd dnia poprzedniego, do jakiejś naprawy.

Lecz drobna ta przeszkoda nie zatrzymuje go ani na chwilę. Przeprawienie się bez stopni na drugą stronę, staje się dziełem jednej chwili. Wspiąwszy się po kracie, jednym zręcznym, składnym ruchem staje na wierzchu parkanu, zkąd skacze w ogród równemi nogami, biegnąc dalej cienistemi alejami parku.

Szkoda wielka, że gorliwość w spełnianiu obowiązku, nie pozostawia mu czasu na obejrzenie się po za siebie. Zobaczyłby list swój do matki, który wysunąwszy się przy skoku przez płot z kieszeni jego kurtki, kołysze się spokojnie, na szerokich liściach łopianów, rosnących bujnie pod parkanem.

* * *

Panieńskie pokoje znajdują się w Wańkowcach na piętrze pałacu, od strony południowej. W rozkosznem tem gniazdku, wysłanem od sufitu do posadzki mieszaniną gustowną żółtej brokateli, bursztynowego pluszu i perskich kobiercy, pełno jest w tej chwili słońca i powietrza. Świeże ożywcze oddechy podolskich obszarów, napływają szerokim strumieniem przez otwarte okna, mieszając się z upajającą wonią heliotropu, rozchodzącą się od wykwintnej damskiej gotowalni.

W buduarze znajdują się obie domowe panny. Powróciwszy przed chwilą z kościoła, zrzucają z siebie skromne sukienki z szarego płótna, zmieniając je do obiadu na piękne toalety z bladoliliowej grenadyny.

Panna Antonina w białej spódniczce i penoarze siedzi przed wielkiem zwierciadłem, rozczesując zwolna długie ciemne warkocze.

Panna Anna zdążyła już w tak krótkim czasie przeobrazić gruntownie swą ruchliwą osóbkę, i postawiwszy nóżkę na atłasowym taboreciku, zapina oto ostatni guziczek lakierowanego bucika.

— Cóż ty z nim zrobisz? — zapytuje starsza siostra, przeciągając niedbale grzebień przez jedwabniste sploty.

Dziewczynka podnosi na nią ogromne czarne oczy, błyszczące żywem zaciekawieniem.

— Z kim?

— Z Endymionem.

— Eh! — brzmi wzgardliwa odpowiedź. Poczem rączki panienki powracają do upartego guzika, niechcącego w żaden sposób pomieścić się w przeznaczonej dla niego dziurce.

— Nie udawaj tylko niewiniątka, Anno! Wiesz dobrze, że biedny chłopiec chodzi za tobą, odkąd tu przyjechał, jak oczarowany. Przeczuwam, że lada chwila oświadczy się tobie i rodzicom, wyraźnie i urzędowo.

— Uczynił to już ze sto razy pod figurami i tyleż razy dostał ode mnie szczutka w nos, także pod figurami! Mam nadzieję, że jeśli posiada choć odrobinę sprytu, nie zechce się narazić, bym tę przyjemną niespodziankę uczyniła mu po raz setny pierwszy, w sposób równie urzędowy.

Panna Antonina poczyna się śmiać głośno.

— Podziwiam energię zakochanego, z którą podejmuje zadanie tak niewdzięczne, jak usiłowanie ożywienia własnym ogniem naszej Galatei!

— To nie energia, lecz upór kaprysu! — odpowiada lekko dziewczynka. — Nie spotkał zdaje się dotąd nigdy oporu, w tryumfalnym swym pochodzie i oto zatrzymuje go przy mnie trochę dłużej. Filigranowe to serce, rozpala się samo żarem, którym usiłuje rozgrzać naprózno moje. Gdybym przejęła choć trochę z tych upałów, wielki ten pożar okazał by się wkrótce słomianym ogniem. Buchłoby to i zgasło. Nie ma tam tyle ciepła, by starczyło na dwoje.

— Będąc na twem miejscu, uważałabym jednak za rzecz piękną, usidlić takiego zwycięzcę serc niewieścich.

— A usidliwszy, cóż z nim poczniesz?

— Co sama zechcesz! Będzie wtedy twą własnością.

— Dobrze. Więc wsadzę go na śpilkę i zamknę do szklanego pudełka.

— Ha! ha! ha! Cóż to ma znaczyć?

— Że nie lubiłam nawet w dzieciństwie łowić motyli.

— Pomówmy seryo, Anno. Czy wiesz, że mama życzy sobie bardzo tego związku?

Uśmiechnięta twarz dziewczynki, zasępia się głębokim smutkiem.

— Wiem to niestety! widzę, a raczej przeczuwam, że mama z ciocią, spiskują na mą przegraną! Oh!... masz go. Urwałam guzik! Wszystko przez tego piankowego Apollina... Zdawało mi się, że trzymam go pod ręką... i trzask!... Boże, jakaż ja nieszczęśliwa!... Wam obydwom zostawili rodzice zupełną swobodę, mnie tylko przeznaczają tę piękną lalkę!... Trzeba go będzie przyszyć...

— Kogo? Endymiona?!

— Guzik. Proszę cię Antolko, nie żartuj! Widzisz że jestem w rozpaczy.

Mówiąc to dziewczynka, ściąga nieszczęsny bucik z nóżki i skacząc w jednej pończoszce, dobywa z koszyczka igłę, nici i naparstek. Siada potem na dywanie u stóp siostry, zabierając się do naprawiania szkody, z nastroszoną minką i ściągniętemi brwiami.

Panna Antonina spogląda na nią, starając się z trudnością zachować powagę, potrzebną jej do przeprowadzenia dalszej rozmowy.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

TEATR.

Meteor, krotochwila w 4 aktach, Gustawa Mozera, przerobiona przez Ludwika Śliwińskiego.

Pan Śliwiński przerabiając niemieckie krotochwile na scenę małego teatru, przyczynił się niemało do powiększenia jego dochodów. Zastosowanie dzieł w obcych językach pisanych do obyczajów rodzinnej ziemi, nie jest znowu tak łatwą rzeczą jak może sądzić ktokolwiek bądź mniej obznajmiony z podobnym rodzajem pracy. Należy baczyć nietylko o nagięcie charakterów działających osób do usposobień miejscowych mieszkańców, ale i nadać cechy swojskie wszystkim choćby najdrobniejszem nawet szczegółom. Wprawdzie pozostanie tam zawsze coś cudzego, ale to coś zręcznemi konturami wygładzone w całości, zadowolni mniej wybrednego na składowe części sztuki widza. „Wojna w czasie pokoju", „Porucznik Szykowski", „Nad przepaścią" łatwiej dały się umiejscowić niż „Meteor", w którym kilka osobistości czysto germańskiego zakroju, nie mogą pomimo najszczerszej chęci przyswoiciela, wzbudzić w nas przekonanie, iż patrzymy na swych rodaków.

Niemiec zazwyczaj wyszumiawszy się za młodu, zostaje później kółkiem mechanizmu państwowego, indywidualnością cichą, spokojną, pilnującą regulaminu a lubiącą w wolnych od urzędowania chwilach życie familijne, szlafrok i pantofle. Każda możliwość wyjścia z trybu tej bierności, przestrasza go, wszelkie owacye od podwładnych wyradzają w nim obawę narażenia się zwierzchnikom, nic więc dziwnego, że Bürger-meister z nad Szprei drży na samą myśl wyprawienia mu jubileuszowego obchodu, gdy tymczasem każdy z ojców miast galicyjskich, przyjąłby z radością podobny dowód uznania od swych współobywateli.

Jubileusz pana Kontrowicza burmistrza i wybory członków do sejmu z kuryi miejskiej, stanowią główne tło na którem obraca się intryga krotochfili. Nieszczęśliwy jubilat chowa się przed czekającemi go zaszczytami po wszystkich kątach, zapada na windzie do podnoszenia potraw służącej w kuchenne podziemia, a przy końcu sztuki dopiero osiąga pożądany cel. Wspomniana bowiem uroczystość nie przychodzi do skutku, protegowany przez niego kandydat na posła, zacny Prawdzicki otrzymuje głosy, zakochany tym razem na prawdę meteor Bomblowicz przemienia się w gwiazdę stałą zostając jego zięciem, a wreszcie wygadany Frazesik, drugi pretendent do poselskiego krzesła i do rączki Brońci nadobnej córeczki niedoszłego jubilata, otrzymuje podwójnego odkosza.

Wszystkich szczegółów i szczególików składających treść tej wesołej farsy opowiedzieć niepodobna, tyle tam przeróżnych komplikacyi; powiemy więc tylko, że pan Śliwiński grający wybornie lecz z pewnym odcieniem przypominającym porucznika Szykowskiego, rolę Meteora, zrobił wszystko co w ludzkiej mocy uczynić można, ażeby przeflancować roślinę czysto germańskiego pochodzenia na grunt słowiański, a jeżeli nie na głowach niektórych osobistości, dostrzegliśmy zamiast bujnej czupryny sarmackiej, coś przypominającego harcapy szwabskie, to już nie jego wina lecz następstwo niezgłębionej przepaści, jaka od wieków pomiędzy sąsiedniemi temi narodami istnieje. Nadto „Meteor" ma jeszcze tę wielką zaletę, że komizm jego choć czasami ciężki, nie wychodzi nigdy z granic przyzwoitości. Nie ma tam żadnych drastycznych sytuacyi, żadnych dwuznacznych słówek, tłustych konceptów, mających taki urok dla galeryi i paradyzu, a budzących wstręt u wykształconego słuchacza. Kilka efektów szczególniej końcowych drugiego aktu doskonale jest pomyślanych, charakter pana Frazesika, który wiele mówiąc nic właściwie nie powiada, wziął autor żywcem z realnego świata. Podobnych szermierzy pustych słów posiadają nietylko nasi sąsiedzi, i u nas bacznie poszukawszy, możnaby odnaleźć takich ludzi.

Sztuka szła gładko, budząc niejednokrotnie wybuchy homerycznego śmiechu. Pan Morozowicz w roli niewyczerpanego gaduły na tem większą zasługuje pochwałę, iż w niczem tym razem nie przypominał poprzednich swóich kreacyi, wszyscy inni wywiązali się z podjętego zadania bez żadnego zarzutu, nawet panna Sznage w końcu drugiego aktu, słuchała uważnie oświadczeń miłosnych pana Śliwińskiego nie strzelając, podług swego zwyczaju oczkami do krzeseł, a później przy posądzeniu adoratora o danie jej przydomku „niewinnej owieczki" potrafiła przez kilka chwil powstrzymać na ustach stereotypowy uśmiech, będący jak wiadomo wyłączną właściwością gry tej artystki.

Nie podobna mi pominąć milczeniem panny Dworzeckiej w roli Hanki służącej Kontrowicza. Rola to mała, drobna, z kilkunastu zaledwie wyrazów składająca się, a jednak wykonaną została znakomicie. Począwszy od wybornej charakterystyki, aż do ruchu, chodu, intonacyi głosu, wszystko było prawdziwe, naturalne z natury odfotografowane. Sądzimy iż reżyserya teatru małego powinna zwrócić większą uwagę na tę zapomnianą dotąd zdolność i dać jej szersze pole do popisu.

Ludwik Niemojowski.

KATARZYNA LEVALLIER.

PRZEZ

Edwarda Delpit,

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

VIII.

Jakże się cieszę, że cię widzę mamo — zaczęła już od progu Katarzyna.

Pani Maleyra spostrzegła niezwykłą bladość na twarzy młodej kobiety, lecz nie spytała o jej powód.

Katarzyna podeszła do matki i rzucając się na stojący obok niej fotel, przytuliła się do niej pieszczotliwie. Mimowolne westchnienie wyrwało się z jej piersi.

Nastała chwila przykrego milczenia, nareszcie pani Maleyra przyzywając na pomoc całą odwagę zaczęła pierwsza:

— Czy wiedziałaś o tem, że Genowefa pokochała się w Lucyanie?

Katarzyna, która siedziała z czołem wspartem o ramię matki, usłyszawszy to niespodziewane pytanie drgnęła i żywo podniosła głowę a jakiś ostry, nienawistny wyraz zaświecił w jej pięknych oczach.

Po chwili jednak zdołała zapanować nad sobą i odparła z odcieniem żartobliwego szyderstwa w głosie:

— Zkądże mogłabym się domyśléć tego, o czem ona sama nie wiedziała wcale.

— Tak mniemasz?

— Moja mamo, dajmy temu pokój a mówmy lepiej o czemś poważniejszem.

— Czyż to dla ciebie nie dość poważny temat do rozmowy? Upewniam cię, że jeśli Genowefa dotychczas nie zdawała sobie sprawy ze swoich uczuć, teraz już nieświadomością tłomaczyć się nie może. Mówiła o tem szczerze i otwarcie.

— Czy ciebie mamo obrała za swoją powiernicę?

— Tak, mnie i twojego męża także.

— Doprawdy? i cóż Maksym na to powiedział?

— Maksym wyrzuca sobie, że był nieostrożny i niedomyślny, gdyż mógł łatwo przypuścić, że sława, talent i osobiste zalety Lucyana potrafią zawrócić głowę...

— Egzaltowanej, młodej dziewczynie — podchwyciła z żywością Katarzyna — masz słuszność mamo...

— Nietylko młodej dziewczynie ale i kobiecie dojrzalszej i bardziej doświadczonej — dokończyła zwolna i dobitnie pani Maleyra.

— Mamo!

— Czego chcesz, moje dziecię?

Katarzyna udała, że nie rozumie ukrytego znaczenia słów matki, a chcąc inny rozmowie nadać kierunek, odezwała się z udaną swobodą:

— Uczucia takie podobne są do sztucznych ogni, które choć świetnie zrazu zabłysną, ale

wprędce potem gasną... Nie dziwię się, że zalety Lucyana olśniły Genowefę, ale ręczę mamie, że miłość jej nie potrwa dłużej jak ze dwa tygodnie i Maksym niepotrzebnie się tem niepokoi... Kto widział takie rzeczy brać na seryo, ja się śmieję z tego...

Kończąc te słowa, Katarzyna w istocie zaczęła się śmiać z przymusem. Pani Maleyra z przykrością słuchała tego wybuchu nienaturalnej wesołości.

Widocznie złe zrobiło postęp ogromny, pomyślała w duchu, a głośno dodała:

— Nie widzę w tem wszystkiem nic zabawnego. Wszyscy, prócz ciebie, Kasiu, poważnie zapatrują się na tę kwestyą.

— Wszyscy?

— No, Maksym, Genowefa, Lucyan...

— Doprawdy i Lucyan także?

— Nieinaczej, za chwilę ma przyjść po stanowczą do Genowefy odpowiedź. Ujrzemy go tu wkrótce.

— Po stanowczą odpowiedź? — powtórzyła z nieudanem ździwieniem Katarzyna. — Nie pojmuję czego Lucyan mógł żądać...

— Upoważnił mnie, abym w jego imieniu prosiła Maksyma...

— O co?

— O rękę Genowefy.

Na twarzy odmalowało się ździwienie, boleść i gniew zarazem. Zerwała się z krzesła jak podrażniona lwica.

— Jakto? Lucyan zakochał się tak nagle! — zawołała z uniesieniem. — Z nieba widać spłynęła nań ta łaska!

— Być może.

— I ciebie, mamo prosił o pośrednictwo w tej sprawie?

— Cóż w tem dziwnego? Wszak ja go wychowałam i mnie też jako przybranej matce najpierw powinien się był zwierzyć.

— Niechże mi mama opowie wszystko bardziej szczegółowo — zaczęła spokojnie na pozór Katarzyna, lecz głos jej drżał tłumionem łkaniem.

Nerwowym ruchem skrzyżowała ręce na piersiach, chcąc powstrzymać gwałtowne bicie serca, lecz twarz blada i dziwny wyraz trwogi w szeroko otwartych źrenicach, dowodziły o nadludzkiem cierpieniu.

— Jeżeli sobie tego życzysz, opowiem ci chętnie — rzekła pani Maleyra. — Chociaż ja na twojem miejscu nie troszczyłabym się o to wcale, owszem byłabym bardzo zadowolona, że przykra dla wszystkich kwestya kończy się prędko i stanowczo.

— Co mama chce przez to powiedzieć?

— To, że Maksym rozmawiając z Lucyanem, dowiedział się przypadkiem o beznadziejnej miłości tego ostatniego, miłości, którą mogłaby się stać przyczyną wielkiego nieszczęścia... Maksymowi żal się zrobiło biednego chłopca, a chcąc go zwrócić z fałszywej drogi, poradził mu aby się ożenił.

— Z Genowefą?

— Nie... Lucyan sam a raczej ja podsunęłam mu tę myśl... wiesz, że ja zawsze twierdziłam, że Genowefa stworzona na żonę dla niego.

Katarzyna wzruszyła niedowierzająco ramionami.

— Maksym nie zgodzi się nigdy na to małżeństwo.

— Dlaczego? Genowefa kocha Lucyana.

— A ja mówię, że nie kocha go wcale. Z jakiego powodu miałaby go kochać? Czy go zna tak dobrze, czy ich łączy długotrwała znajomość lub przyjaźń? Bynajmniej, nawet usposobienia ich nie wróżą, aby mogli być ze sobą szczęśliwi, pojęcia ich tak dalece się różnią, że o harmonii mowy być nie może.

— Wszystko to nie racya, moja droga.

— Być może, ale trzeba zwrócić uwagę na następstwa podobnego związku.

— I jakież to następstwa?

— Mama się o to pyta?

— Skoro twierdzisz tak stanowczo, musiałaś dobrze zbadać tę kwestyę.

— Prędzej czy później nastąpi rozczarowanie i żal za tem co już naprawić się nie da — odparła z ciężkiem westchnieniem młoda kobieta.

— Moja droga, każde małżeństwo pociąga za sobą mniej więcej te same następstwa. Cierpieć, to przeznaczenie każdego człowieka a tem bardziej kobiety; lecz kto pojmuje swoje obowiązki, z godnością potrafi stawić czoło cierpieniom... Dziwię się, że jestem zmuszona powtarzać to tobie, która wiesz o tem wszystkiem z własnego doświadczenia.

— Co innego znosić cierpliwie nieszczęście a co innego wyzywać je niejako, bieżyć nieoględnie ku przepaści, która nam zgubę gotuje, kiedy trochę silnej woli uchroniłoby nas od bolesnego rozczarowania i zawodów w przyszłości.

— Tylko ludzie nieszlachetni cofają się z obawy przed niebezpieczeństwem — odparła z powagą pani Maleyra. — Pan Bóg nie stworzył nas jedynie do używania rozkoszy, przeciwnie... Jak żelazo w ogniu, tak dusza hartuje się w cierpieniu; są charaktery które właśnie czerpią siłę w tej szlachetnej walce i ręczę ci, że Genowefa znajduje się w ich liczbie; dusza jej nie zna trwogi, bo zawsze prawą postępuje drogą... Z rozrzewnieniem spoglądam na tę młodą dziewczynę, której serce mieści w sobie tyle wzniosłych uczuć; biedaczka, lękam się aby los nie obszedł się z nią okrutnie... Pomimo to uwielbiam jej odwagę i gotowość poświęcenia siebie dla szczęścia drugich... Lepiej stokroć rozkrwawić własne serce o ciernie surowego obowiązku niż odurzać się zatrutą wonią kwiatów i pić z kielicha zakazanych rozkoszy... Podług mnie Maksym dał Lucyanowi doskonałą radę.

Katarzyna podziwiała spokój z jakim matka wygłaszała swoje przekonania. Co do niej czuła, że krew ogniem płonie w jej żyłach.

Oburzała ją myśl, że Maksym ze zwykłym sobie chłodem i mieszczańskim spokojem narzuca swoją wolę człowiekowi, którym ona tylko miała prawo rządzić.

— Maksymowi się zdaje, że ludźmi można tak kierować jak maszynami — rzekła sobie w duszy z goryczą. — Czy dlatego, że rządzi setkami robotników, mniema, że wolno mu sąd wydawać w kwestyach uczucia o jakich pewnie nie ma wyobrażenia. Gdy mu się w fabryce zepsuje jedna maszyna, sprowadza na jej miejsce nową; tak samo usiłuje postąpić i z miłością Lucyana i chcąc ją ku innej skierować osobie, leczy go homeopatyą... Wyborna rada: ożeń się... Ah! doprawdy, Maksym jest nielitościwy!...

— O czem myślisz? — spytała pani Maleyra.

— Zastanawiam się nad tem, z jakiego powodu Maksym wtrąca się w sercowe sprawy Lucyana?

— Czy uważasz, że Lucyan nie jest godzien aby się nim zajmowano?

— Nie to bynajmniej chciałam powiedzieć; ale jeżeli Lucyan jest nieszczęśliwy w miłości, dziwię się, że mojego męża obrał sobie za powiernika i że Maksyma zajmuje opowiadanie tych miłosnych przygód, a nadewszystko, że tak je wziął do serca, iż chcąc pocieszyć Lucyana pragnie mu oddać rękę swej siostry. Ja gdybym miała siostrę, nie chciałabym nigdy narażać jej szczęścia na podobną próbę... Genowefa jest mi zbyt drogą, abym miała obojętnie na jej los spoglądać... W tem wszystkiem tkwi jakaś zagadka, która nietylko że mnie smuci ale i oburza zarazem... Żywe zajęcie Maksyma tą sprawą jest co najmniej nienaturalne a postępowanie Lucyana nieszlachetne. Obydwaj wiedzą chyba doskonale, że sercu rozkazywać niepodobna.

— A od czegóż rozum i wola?

— O! gdybyśmy się zawsze rozumem rządzić mogli, życie układałoby się bardzo wygodnie. Lecz niestety, kilka słów sakramentalnych wymówionych przed ołtarzem nie zatrze noszonego w duszy ideału!... Być może że dla istot pospolitych, których pojęcia obracają się w ciasnem kole zastarzałych wyobrażeń, wystarcza tak despotycznie narzucony obowiązek... Ale artysta taki jak Lucyan lub choćby tylko człowiek z umysłem wykształceńszym z żywszą wyobraźnią, nie może się stosować do praw ogólnych. Szlachetność, obowiązek, honor, wszystko to czcze słowa, któremi łudzi się ludzkość, człowiek wyższy ponad przesądy łamie przeszkody lub pada zwyciężony, nie zważając na zwyczaje światowe, które usiłują narzucić nań swoje bezrozumne pęta!...

Namiętność zwyciężyła, Katarzyna nie mogła dłużej panować nad sobą. Boleść zbyt długo tłumiona wylewała się teraz falą słów gorących.

Nie była to już owa dumna kobieta, siłą woli powstrzymująca gwałtowne uderzenia swego serca i wstydząca się swej słabości, lecz istota roznamiętniona, znużona walką i blizka upadku.

Wzburzona, podrażniona, szybkim krokiem przebiegała salon. Pierś jej podnosiła się krótkim, urywanym oddechem, białe ząbki rwały nielitościwie kosztowną batystową chusteczkę. Na pięknem obliczu gniew i boleść mieniały się kolejno.

Matka z trwogą śledziła każdy objaw tej wewnętrznej walki.

— Ah! jak ona kocha tego Lucyana! — powtarzała sobie w duchu biedna matka — za jakąbądź cenę nie chce aby należał do innej kobiety. Cierpi i walczy, lecz gotowa poświęcić nawet honor aby tylko nie utracić jego miłości. Ah! to okropne, czyżby namiętność do tego już stopnia zawładnęła jej duszą i spaczyła wyobrażenia, że nie widzi nawet grożącego jej niebezpieczeństwa?

W istocie pani Maleyra spodziewała się wybuchu i dlatego sama chciała być posłanniczką złej wieści, lecz gwałtowność uczuć Katarzyny przeraziła ją niewymownie. Nigdy nie przypuszczała, aby miłość do Lucyana wpiła się tak głęboko w serce młodej kobiety.

Głęboko wzruszona odezwała się drżącym głosem:

— I to ty Kasiu, ty moje dziecię wygłaszasz podobne zdania?

— Dziwi cię to, mamo? — podchwyciła młoda kobieta ze wzrastającem ciągle rozdrażnieniem.— A jednak to rzecz zupełnie naturalna, że oburzają mnie takie małoduszne, nikczemne względy do których świat każe nam się stosować. Drażni mnie to tem więcej, że Maksym i ty mamo mieszacie się w tę sprawę. Jestem już w tym wieku, że nie potrzebuję Mentora i sama sobą kierować potrafię... Jakiem prawem Maksym ośmiela się udzielać rad i wskazówek Lucyanowi, czy jest jego ojcem albo bratem? Jako brat Genowefy powinien więcej na

nią zwracać uwagę a tymczasem wcale tego nie robi!

— Zapominasz Katarzyno, że jesteś żoną Maksyma i że nie masz prawa ani kochać Lucyana ani nawet tak gorąco bronić jego sprawy; on jest i pozostać dla ciebie musi zawsze człowiekiem obcym. Każde żywsze dla niego uczucie staje się występkiem z twej strony... Powiadasz, że artyści nie mogą się stosować do praw jakiemi rządzą się ludzie pospolici, lecz wiedz o tem, że człowiek szlachetny bez względu czy jest artystą lub rzemieślnikiem, rozumie jak mu honor i obowiązek postąpić nakazują. Bogu dzięki, że są jeszcze tacy ludzie na świecie i że Lucyan należy do ich liczby. Wiem, że mój syn przybrany nie waha się wypełnić przykry może na razie, lecz konieczny obowiązek.

— Czuję, że jakieś nieprzewidziane okoliczności wpłynęły na postanowienie Lucyana, lecz ja muszę wykryć prawdę, nie chcę być ani ofiarą, ani wspólniczką tego szalonego zamiaru!

Katarzyna niepomna, że zdradza się tak nieoględnie ze zwemi uczuciami, szybkiemi kroki przebiegła pokój.

Na czole jej gładkiem i pogodnem zazwyczaj, groźna ukazała się zmarszczka a pobladłe lica i krótki, urywany dźwięk głosu, świadczyły o głębokiej, nieudanej boleści.

Zdawało się, że lada chwila gwałtownym, spazmatycznym wybuchnie płaczem, powstrzymała się jednak i rzekła:

— Genowefa miałaby poślubić Lucyana? Nie, nigdy na to nie zezwolę...

— Ona go kocha, Katarzyno.

— To mi dopiero ważna przyczyna! A cóżby się ze mną wtedy stało?

— Kasiu, co mówisz? — zawołała ze łzami pani Maleyra. — Zastanów się, że krok jeden dzieli cię od niesławy, chceszże ją ściągnąć na głowę twego męża i shańbić uczciwe dotąd nazwisko?... Chcesz abym ja umarła z rozpaczy? Nie odpychaj od siebie jedynego środka ratunku. Dziecię moje, moja córko jedyna... widzę, że cierpisz, spodziewam się jednak, że pomimo cierpienia nie upadniesz tak nizko, abym ja za ciebie wstydzić się musiała!... Płacz, łzy przyniosą ulgę twemu zbolałemu sercu; może wraz z niemi spłynie gorycz i uniesienie szarpiące twoją duszę, może odzyskasz odwagę, której teraz tak wiele ci potrzeba!

I biedna matka trwożna o honor i godność swej córki, drżącemi ramionami otoczyła kibić młodej kobiety, starając się łagodnemi, macierzyńskiemi pieszczoty ukoić gwałtowne jej rozdrażnienie; ufała, że siłą swego uczucia zdoła powstrzymać córkę od jakiegoś szalonego postępku i zwrócić ją na drogę obowiązku.

W milczeniu gładziła bujne, ciemne włosy Katarzyny i wzrokiem przyćmionym łzami wpatrywała się w jej pobladłe, wewnętrznem cierpieniem zmienione oblicze.

Katarzyna zdawała się być zupełnie obojętną na te objawy czułości, nagle wyrwała się z uścisku matki i pobiegła na środek salonu, naprzeciw wchodzącej w tej chwili Genowefy.

Roziskrzony gniewem wzrok bratowej przeraził niewymownie młodą dziewczynę. Zatrzymała się ze spuszczonemi oczami i zmarszczką troski na czole.

Katarzyna wpatrywała się w nią długo a wyraz gniewu i nienawiści zeszpecił piękne jej rysy. Zdawało się, że po raz pierwszy zwróciła uwagę na szlachetny wdzięk Genowefy i uroczą jej twarzyczkę promieniejącą wyrazem niewinności i prostoty.

Porównanie wypadło widać na korzyść przeciwniczki, gdyż po chwili Katarzyna odezwała się głosem ostrym i bezwdzięcznym:

— Kochasz go więc?

— Tak — wyszeptała dziewczyna.

— I od kiedyż to, jeżeli wolno zapytać?

— Od pierwszej chwili poznania... Skoro go ujrzałam, zdawało mi się, że spotykam kogoś dawno i dobrze znajomego...

— Dlaczegożeś mi o tem nigdy nie wspomniała?

— Dlatego, że sama przed sobą nie chciałam się do tego przyznać.

— I mniemasz, że jesteś kochaną wzajemnie?

— Nie — odparła Genowefa podnosząc swe pogodne oczy i spoglądając śmiało w rozpłomienione gniewem oczy bratowej.

— W takim razie małżeństwo staje się niepodobieństwem!

— Otóż właśnie przyszłam się z tobą naradzić w tym względzie.

Pani Maleyra westchnęła ciężko widząc, że Katarzyna nie potrafiła zapanować nad sobą.

— Próżno pytasz mnie o radę — odparła z dumą i niechęcią Katarzyna — nie jestem przecież twoją matką.

— Katarzyno! — upomniała ją pani Maleyra.

— Jesteś żoną Maksyma a zatem moją siostrą. Starsza siostra dla sieroty jest matką prawie — rzekła łagodnie Genowefa — i ja też ufam ci nieograniczenie i proszę o radę, chyba że nie chcesz mi jej udzielić...

— A jeśli zganię twój wybór... Nie wszyscy zmuszeni są stosować się do rad twego brata... Ja mogę mieć powody o jakich istnieniu on nie wie wcale...

— Odradzając mi, musisz mieć ważny i słuszny do tego powód i nie wątpię, że mi go szczerze powiesz.

— Kto wie jednak czy on dla ciebie byłby wystarczający? Ludzie zazwyczaj pytają o zdanie drugich, skoro sami mają ustalone już przekonanie.

— Moja Kasiu, mnie nie tyle idzie o radę jak o to, że chciałabym wiedzieć jakie jest twoje osobiste przekonanie odnośnie do mojego małżeństwa? Związek ten nie wróży mi wielkiego szczęścia, wiem o tem aż nadto dobrze, lecz zamartwiłabym się gdyby ciebie miał jeszcze gorzej unieszczęśliwić.

— Mnie! — zawołała Katarzyna przerażona myślą, że dziewczę oddawna odgadło jej tajemnicę. — Zkądże przyszło ci do głowy mnie mieszać w tę sprawę? Cóż mnie to wszystko może obchodzić?

— Moja Kasiu, ja wierzę w to wszystko co mówisz — odparła spokojnie Genowefa — lecz nie jestem już dzieckiem i umiem na świat patrzyć. Dostrzegłam twój smutek i powoli, powoli, domyśliłam się prawdy... Po części i ty przyznałaś się przedemną do trosk i niepokojów a choć nie powiedziałaś ich przyczyny, moje serce odgadło ją w zupełności... Dlatego też pragnę nie przymnażać twoich cierpień; to był jedyny powód, że nie odpowiedziałam odrazu Lucya... panu Borrèze. Chciałam pierwej rozmówić się z tobą; tem lepiej, że matka twoja jest tu obecną, ona wie o mojej i twojej tajemnicy i nie powie nikomu o naszej rozmowie. Nieprawdaż, droga pani?

— Możesz być o to zupełnie spokojną, Genowefo.

— Pan Borrèze uczynił mi zaszczyt prosząc o moją rękę. Nie zrobił on tego wcale z miłości ku mnie, wiem że nie jest we mnie zakochany, nie jestem tak zarozumiałą abym mogła sobie pochlebiać, że moją małoznaczącą osóbkę wyróżnił z pomiędzy innych, nie bynajmniej, on zastosował się tylko do woli Maksyma.

— Chcesz powiedzieć do rady — przerwała jej z żywością Katarzyna.

— Nie, do woli — poprawiła ją Genowefa.

— Wyraz wola brzmi jednoznacznie z rozkazem — odparła Katarzyna — a pan Levallier nie ma prawa rozkazywać Lucyanowi.

Rozmowa przedłużała się z widoczną dla Genowefy przykrością. Dziewczyna lękała się, aby jakiem nieostrożnem słówkiem nie podrażnić jeszcze gorzej bratowej przedstawiając jej nieubłaganą wolę męża, do którego i tak czuła głęboką urazę.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

WIADOMOŚCI
Z RÓŻNYCH STRON.

Karnawał za parę dni idzie na postną pokutę rozpamiętywać dzieje swego żywota i wzdychać za minionemi figlami zapustnej uciechy, tak krótko trwającej w tym roku. — Wszystko w nim odbyło się po formie. Bali publicznych na różne cele nie brakło z całą sztywnością wielkich zebrań, w których brylanty współzawodniczą z gazowem światłem salonów. Nie brakło także i świetnych dam przystrojów nawet i fijołków, aż z Nicei sprowadzonych, tłoczono się, popychano, przepraszano i zaledwie po dwugodzinnym pobycie, zabierano się... do odwrotu z radością, że się nieznośnej etykiecie zadosyć uczyniło.

Na balach mniej krępujących uczestników, zabawy szły raźniej i dłużej, tylko wypijano więcej piwa jak wina, a szampana ani butelki.

Handel niemało na tem ucierpiał, ale przemysł miejscowy zyskał, co godne naznaczenia przy wystawie tkackiej urządzonej świeżo w Warszawie.

Przedstawia się ona nie bardzo świetnie, bo zaledwie kilkanaście firm stanęło do apelu; ale okazy ich godne naznaczenia.

Pomiędzy innemi firmami, widzimy tu wyroby firmy Scheiblerowskiej, Marguliesa z Tomaszowa Rawskiego, Moesa z Choroszczy, braci Repphan z Kalisza, Rudowskiego ze Zgierza, Fiedlera z Opatówka, Skirmunta z Porzecza, Halperna z Tomaszowa, Brigs i Posselt z Marek, Morugin z powiatu Jarosławskiego, Pusłowski z Albertynowa, sukna, korty, tkaniny bawełniane.

Oddzielny pokój ma „Zawiercie" ze swemi wyrobami i oddzielny też przedział bardzo ciekawy zbiór starodawnych makat polskich, zgromadzony za staraniem ks. Michała Radziwiłła.

Przy wyjściu z sali do foyer wpadają nam w oczy ładne chustki i szale perskie Roberta Moenke z Łodzi.

W foyer skromny kącik zajęły okazy jedwabnictwa krajowego z Bogucina, gdzie coraz szerzej rozwija swą działalność p. Adolf Bogucki, znany pioner w naszem jedwabnictwie.

P. Skoryna wystawia gazę młynarską, firma Drews z Łodzi indygo, Deschamps z Moskwy—ultramaryna.

Pp. Malinowska, Poświkowa, Lewenberżanka, Nostitz-Jackowskie, wystąpiły z ładnemi pracami swemi malowania na płótnie, aksamicie, pluszu i suknie.

Fabryka warszawska pluszu i firma Baekera z Łodzi umieściły w witrynach lśniące plusze jedwabne.

Gustowny gabinet, pełen barchanów przeróżnych, urządziła firma Krusche i Ender z Pabianic.

Okazałe dywany olbrzymie pokrywają całe ściany poprzeczne tego korytarza. Pochodzą one z warszawskiej fabryki dywanów, a jeden z nich waży tylko szesnaście pudów; pracowało nad nim 40 robotników.

W pierwszéj sali zwracają przedewszystkiem uwagę olbrzymie transmisye Sellersa, wyrobione w fabryce Orthwein, Markowski i Karasiński, pasy skórzane Wegnera, pasy gumowe Jantzena i Szteinera, w dalszych salach teorya tkactwa Mestera z Tomaszowa Rawskiego, są tutaj albumy z próbkami sukna i kortów niemal ze wszystkich krajów, i firmy Gampher i Fitzner z pod Sosnowca blacha na kotły oraz odłamy pękniętych kotłów dla wykazania przyczyn wypadku.

P. Chrzanowski wystawił machinę własnego pomysłu, wyrabiającą bardzo dokładnie tkaninę metalową i całą manipulacyę jej pokazuje zwiedzającym wystawę.

Idziemy na drugie piętro.

Gdy się drzwi otworzy od pierwszej sali, spotyka się bardzo miłą niespodziankę.

Przemysł tkacki włościański występuje tu w takiem bogactwie, jak na żadnej dotąd wystawie.

Leżą lub wiszą przerozmaite fartuchy, kilimki, nawet korty, wyrabiane na wsi. Na ciekawą kolekcyę tę składają się różne miejscowości z gubernii warszawskiéj, siedleckiéj, łomżyńskiéj, lubelskiéj, podolskiej i witebskiej.

Na tle dekoracyjnem wnętrza chat stoją krosna i kołowrotek.

Włościanin Banan z Sielc pod Warszawą pokazuje swą hodowlę jedwabników.

W innych salach wystawy znajdują się okazy szkół kobiecych nauki rzemiosł pp. Korycińskiej i Strońskiej, hafty, albumy, koszyczki i t. p., ładna imitacya gobelinów, aparaty kościelne firmy Strakacza, pościel Drexlera i Apfelbauma, gorsety naturalnie „hygieniczne," krawaty ręczne „Czesławy," wynalzek nowy „aquatina," nadająca płótnu nieprzemakalność i ogniotrwałość, wreszcie duża kolekcya wyrobów wełnianych systemu d-ra Jaegera, reprezentowana przez firmę Panzer'a z Łodzi.

§§ **Szwalnia dla ubogich dziewcząt** przy ulicy Freta pod N. 10, pod zawiadywaniem towarzystwa dobroczynności przyrzeka wejść wkrótce na drogę pomyślnego pod każdym względem rozwoju.

Inicyatorem tego zakładu i głównym jego po dziś dzień opiekunem i zarządzającym jest hr. Wiktor Ronikier, główną zaś opiekunką sędziwa pani Marya Jozefowiczowa.

„Zakład nauki szycia dla biednych dziewcząt" założony został w r. 1882, pięć lat więc temu.

Towarzystwo dobroczynności udzieliło mu bezpłatnie jeden z małych domków w zabudowaniach podominikańskich przy ulicy Freta, dostarczenia zaś potrzebnych na utrzymanie funduszów podjął się zamianowany opiekun hr. Wiktor Ronikier.

Dzięki gorliwym jego staraniom znalazła się też garstka protektorów i protektorek, którzy jednorazowym lub corocznym datkiem przyśli w pomoc nowej filantropijnej instytucyi, liczącéj z początku trzydzieści zaledwie uczenic.

Pani Józefowiczowa znów po dziś dzień kieruje gorliwie wszelkiemi specyalnemi sprawami szwalni i jak dobrze musi być tam uczennicom pod opieką zacnéj swéj pary opiekunów najlepszym dowodem, iż dziś szwalnia liczy 150 przeszło ubogich dziewcząt.

Łatwo pojąć, iż pierwotnie udzielony lokal, w takich warunkach rychło okazał się za szczupłym i zaczęły się pertraktacye o większy.

W trakcie takowych na domiar, domek, w którym mieścił się zakład jak wiadomo spłonął, wywołując absolutną już konieczność obejrzenia się za innym stałem miejscem mogącem korzystnie zastąpić tymczasowo po pożarze udzielone pomieszczenie.

Wówczas to hr. Ronikier powziął śmiałą myśl postawienia osobnego nowego gmachu na pomieszczenie zakładu, „gmachu" odpowiadającego naturalnie jedynie skromnym potrzebom i wymaganiom swego wyłącznego przeznaczenia.

Kosztorys skromnego takiego domku wykazał sumę około 7,000 rubli, nader wprawdzie wstosunku małą, lecz niemniej trudną zwłaszcza w dzisiejszych czasach do uzyskania.

Lecz gorliwy opiekun tem się nie zraził, tembardziej mając już pewną podstawę, gdyż towarzystwo dobroczynności ze swej strony przyznało na ten cel bezpłatnie plac, na którym mieścił się dawny domek oraz 1,800 rs. odebrane od towarzystwa ubezpieczeń.

Dzięki usilnym zabiegom hr. Ronikier do pierwotnej tej sumy zdołał po dziś dzień już uzyskać nadto 2,500 rubli udzielonych przez różne życzliwe zakładowi osoby.

Dalej kilku z pomiędzy naszych przemysłowców przyrzekło czynnej swej pomocy przy postawieniu domku, udzieleniem bezpłatnych materyałów i t. p.

Obecnie znów, jak słyszymy, hr. Ronikier krząta się około urządzenia w czasie postu na dochód szwalni nader efektownego widowiska.

Jest więc uzasadniona nadzieja, iż w niezadługim czasie budowla stałego pomieszczenia szwalni wyłoni się z fazy projektu w czyn.

§§ **Stroicielki.** Strojeniem fortepianów zaczynają się zajmować kobiety.

Pani T., wdowa po stroicielu, objęła klientelę małżonka i tym sposobem zarabia na utrzymanie własne oraz trojga dzieci.

§§ **Wina owocowe.** Jeszcze jedna fabryka win owocowych ma powstać w mieście naszem.

Fabryka ta ma wyrabiać jabłecznik, a to dla zużytkowania odpadków jabłek przeznaczonych do suszenia.

§§ **Ptaki i moda.** Ortnitologowie z przyjemnością przyjęli doniesienie, że damy z „towarzystwa" londyńskiego postanowiły nie używać już piór ptasich do ozdoby kapeluszów, wachlarzów, płaszczyków i t. d. Przy tej sposobności zagraniczne pisma fachowe donoszą, iż głównego kontyngensu ptaków do ozdoby strojów kobiecych dostarczały Stany Zjednoczone. Obliczano nawet, że w kraju tym zabijano corocznie pięć milionów ptaków dla zaspokojenia potrzeb modystek miejscowych i na wywóz do Europy. Lecz nietylko Stany Zjednoczone składają ofiary ptasie na ołtarzu strojniś, lecz i Ameryka południowa, Afryka, Australia, wyspy Papua i Indye Wschodnie. Jakie zaś rozmiary handel takiemi ptakami przybierał, widać z tego, iż w ciągu pierwszych czterech miesięcy r. 1885 jeden tylko wielki skład londyński sprzedał 404,464 skrzydełek ptasich z Indyj Zachodnich i z Brazylii i 356,388 z Indyj wschodnich. Na ptaki morskie jest popyt tak znaczny, że wielu myśliwych utrzymuje się z ich połowu. Ornitologowie spodziewają się, że wybijanie pięknopiórych ptaków skończy się wówczas, kiedy moda strojenia się w pióra ptasie przeniknie aż do sfer najniższych gdyż wówczas każda kobieta, mająca się za coś lepszego, modę tę zarzuci.

§§ **Adwokatki.** Koła prawnicze Brukselli z zajęciem roztrząsają obecnie kwestyę dopuszczenia kobiet do adwokatury. Pewna studentka uniwersytetu brukselskiego w roku przyszłym ma złożyć drugi egzamin i zamierza wpisać się na listę adwokatów. Ztąd kwestya przybiera doniosłość praktyczną. W ogólności przeważna większość zdań oświadcza się za dopuszczeniem kobiet do karjery adwokackiej. Przy okazyi nadmieniamy, iż niedawno w Leodyum otworzyła aptekę panna Beaufort, ukończywszy wprzód kursa farmaceutyczne.

§§ **Czasy Adama i Ewy powracają...** W Madrycie rozpoczął się niezmiernie ciekawy proces przeciw propagatorom nowej sekty, która utworzyła się w miejscowości Folox, w prowincyi Maladze. Sekciarze ci nie chcą nosić żadnego ubrania, ponieważ Adam i Ewa przed upadkiem go nie nosili; zadają sobie rany na rękach, nogach i w boku, nakształt ran Chrystusowych; palą wszystkie ruchomości, ponieważ opatrzność sama zaopatruje ludzi w jadło i napój. Jest to obłęd chorobliwy, przyczem wyszło na jaw, że propagatorowie sekty posługują się osobami nerwowemi przy pomocy hypnotyzmu. Z polecenia rządu lekarze badali te osoby i zeznali iż zachodzi tu karygodne nadużycie hypnotyzmu w celach ubocznych, szkodliwych dla społeczeństwa i jednostek.

§§ **Armie psie.** Żołnierze załogi francuzkiej w Belforcie zajęci są obecnie tresurą znacznej liczby psów, które przyuczają, aby na żołnierzy ubranych w mundur pruski rzucały się i kaleczyły. Nowi nieprzyjaciele Prusaków są bardzo pojętni, co pokazało się na próbie, odbytej w tych dniach w ten sposób, że każdemu żołnierzowi, stojącemu na czatach w polu, dano po jednym psie. Po niejakim czasie do czat zaczął zbliżać się nieprzyjaciel, pseudo-Prusak. Pies, ujrzawszy go, rzucił się na niego z wściekłością i byłby go może rozszarpał, gdyby waleczny Prusak nie uciekł przed nim na drzewo. Naturalnie, że armii francuzkiej przybywa w psach specyalnie wyuczonych dobry sprzymierzeniec, tylko, że i Prusacy uciekną się do pomocy tych stworzeń, a wówczas obok armii, złożonych z umundurowanych ludzi, postępować będą armie psie.

Żona podejrzewająca męża o zbyt czułe afekta w alejach publicznego ogrodu, prosiła go dla spokojności swojej, aby wycieczek tych zaniechał. Małżonek dla spokojności także, przyrzekł to spełnić i zaraz na drugi dzień... poszedł do ogrodu. Wypadek chciał, że najniespodziewaniej zobaczył zdaleka idącą przyjaciołkę żony, a wielką nieprzyjaciołkę milczenia.

— A niechże cię! — zawołał małżonek — a tom się złapał!

I schował się za gruby pień drzewa, w przypuszczeniu, że go nie dostrzeżono.

Mimo to na drugi dzień żonka występuje z gorzką wymówką:

— Tak to spełniłeś moją prośbę?

— Jakto?

— A tak, wczoraj w ogrodzie znowu cię widziano.

— Widziano? Ah! tak, widziała mnie twoja przyjaciołka, ale mogę cię zaręczyć honorem, że tylko dlatego, iż drzewo za którem się schroniłem było zbyt cienkie, aby mnie zasłoniło dostatecznie przed oczami plotkarki. Jeżeli takie bajdy podnosić będziesz do wielkiego znaczenia, zgody nigdy między nami nie będzie.

* * *

Ciężkie czasy. W miasteczku X. w Niemczech znajduje się sklep z wymalowanemi na szyldzie „Trzema królami" śpieszącymi do Betleem i z napisem „Pod trzema królami". Niestety, rynna u dachu nad owym szyldem popsuła się, a przeciekająca powoli woda poczęła zmywać jednego z królów, aż w końcu zmyła go zupełnie. Wtedy jeden z subjektów zwrócił uwagę właściciela na tę dysharmonię między napisem a wizerunkiem, dodając, iż trzebaby kazać tego trzeciego króla domalować.

— Co?— wrzasnął gospodarz — domalować! na takie ciężkie czasy!... Nic z tego!...

A kiedy subjekt powiedział, iż kundmanowie będą się śmiali, skąpy gospodarz dodał:

— No, to już zawołaj malarza, ale niech tylko przerobi napis: „Pod dwoma królami", zawsze to będzie taniej!...

* * *

Przyczynek do historyi etykiety hiszpańskiej. Król Filip V-ty, wskutku długiej choroby postradał włosy i dla zaradzenia złemu zdecydował się nosić perukę. Na dworze wszakże, gdzie nawet niejednokrotnie najważniejsze interesa państwa cierpiały pod ciężarem etykiety i formy, sprawa ta przedstawiała szkopuł nielada. Minęły tedy miesiące, zanim król doszedł do posiadania peruki, a ówczesny poseł francuzki w Madrycie pisał do Paryża, iż cały hiszpański dwór zajęty jest kwestyą niesłychanej wagi. Toczą się mianowicie spory, czy włosy do królewskiej peruki mają być od panny czy od rycerza, nadto najwyższy ochmistrz wymaga, aby włosy pochodziły od osoby wyższego urodzenia, a to dla uniknięcia wszelkich czarów. Szkoda, że ów poseł nie dodaje w końcu na jakie włosy zgodzono się ostatecznie.

* * *

— Proszę mnie jutro obudzić punkt o piątej — mówi gość w hotelu do numerowego, wróciwszy z teatru o drugiej po północy.

— Jestem na rozkazy, raczy tylko jaśnie pan zadzwonić — odpowiada kelner nawpół śpiący.

RÓŻNE MYŚLI.

Miłość chętnie wierzy temu, co jej schlebia.

Bacine.

ZAWIADOMIENIA.

Tygodnik Powszechny

pismo poświęcone polityce, sprawom społecznym, literaturze i krytyce,

pod redakcyą W. Czajewskiego.

Jako dodatek bezpłatny otrzymają prenumeratorzy w 1888 roku Encyklopedyę polską illustrowaną p. t. Nasi współcześni (z portretami). Obejmuje ona najpierw Redaktorów i czasopiśmiennictwo Warszawskie i Poznańskie, później literatów i uczonych, wreszcie innych działaczy społecznych. Prenumerata roczna wynosi z przesyłką rs. 7, półrocznie rs. 3 kop. 50, bez przesyłki rocznie rs. 6, półrocznie rs. 3 i t. d.

Żądającym wysyłamy numera okazowe i prospekta bezpłatnie. Roczniki z b. r. tylko po rs. 4 kop. 50 z przesyłką rs. 5 kop. 50 (gdyż daliśmy prenumeratorom pierwszy kwartał bezpłatnie).

Adres: Chmielna Nr. 23, w Warszawie.

ZAKŁAD
NAUKOWO-RĘKODZIELNICZY

pod kierownictwem

Natalii Smólskiej,

przy ulicy Ś-o Krzyzkiej Nr 19.

Przyjmuje uczenice na naukę pojedyńczych rzemiosł za opłatą rs. 5 miesięcznie. Za opłatą zaś miesięcznie rs. 15 odbywać się będą wykłady całych grup przedmiotów do jednej specyalności należących, dla tych osób, które z nauki swej zapragną wyrobić sobie stanowisko fachowe. I tak:

Dla Modystek wykładane będą: krój sukien, krój bielizny, stroje, szycie w ręku i na maszynie i część towaroznawstwa zastosowanego do tego zawodu.

Dla gospodyń wiejskich: Ekonomia domowa, Rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo, Jedwabnictwo, Wiadomości o drobiu i pszczołach.

Dla poświęcających się kupiectwu: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne.

Ponieważ dla rozpoczęcia kursu potrzebny jest komplet z 6-u osób, przeto panie z prowincyi, dla dogodności, na naukę bądź pojedyńczych przedmiotów, bądź wymienionych grup, zapisywać się mogą listownie, adresując swe żądania do Natalii Smólskiej i nadsyłając pierwsze po rs. 5, drugie po rs. 15 i markę na odpowiedź, o terminie rozpoczęcia wcześnie zawiadamianemi będą.

Zarząd Zakładu pośredniczy, na żądanie, w wynajęciu dla uczenic odpowiedniego lokalu i stołu w domach zacnych i przyzwoitych i rozciąga troskliwą opiekę nad temi, które mu przez rodziców powierzonemi zostaną. Na lokal i stół, pragnące takowych za pośrednictwem Zakładu, nadesłać raczą pod wyżej wymienionym adresem, miesięczną opłatę rs. 25.

Czas trwania i sposób opłaty są następujące:

Nauka fachowa w grupach, opłata kwartalna po rs. 45 z góry.

Modniarstwo: krój sukien, krój bielizny, szycie na maszynie i w ręku, stroje i część towaroznawstwa, kwartałów 2 (miesięcy 6).

Gospodarstwo wiejskie: Ekonomia domowa, rachunkowość codzienna, Ogrodnictwo z praktyką podczas miesięcy letnich, Jedwabnictwo, Pszczolnictwo i hodowla domowego inwentarza do kobiecego gospodarstwa należącego — kwartałów 3 (miesięcy 9).

Kupiectwo: Buchalterya i korespondencya handlowa, towaroznawstwo ogólne i obznajmienie z prawem handlowem — kwartałów 2 (miesięcy 6).

Lekcye odbywają się codziennie, po 2 godziny rano i tyleż po południu.

Nauka pojedyńczych przedmiotów, opłata miesięczna rs. 5 z góry.

Krój sukien	miesięcy	3
„ bielizny	„	2
Stroje	„	3
Rękawicznictwo	„	6
Introligatorstwo	„	6
Buchalterya	„	6
Kwiaty sztuczne	„	6
Drzeworytnictwo	„	12
Zegarmistrzowstwo	„	12
Heliominiatury	„	2
Retuszerya	„	6
Koszykarstwo	„	6
Rysunki zastosowane do rzemiosł	„	6
Ekonomia domowa	„	3
Koronkarstwo	„	3
Jedwabnictwo	„	6

Przygotowanie do Buchalteryi po rs. 4 miesięcznie

„ „ Korespondencyi „ 4 „

Lekcye co drugi dzień po dwie godziny.

Po ukończeniu kursu i zdaniu egzaminu, uczenice otrzymują świadectwa uzdolnienia.

PRZYJACIEŁA DZIECI

numer 6 wyszedł z druku i zawiera:

Jubileusz Adama Pługa (z drzeworytem). — Gdzieindziej i u nas (wiersz). — Krzyż ze śniegu (powiastka). — Puszkin Aleksander. — Na drodze do Baku (z drzeworyt.) — Opowiadanie prawdziwe. — Z prawdziwych wydarzeń. Dodatek: Dobra Kasia (z drzeworytem). — Piłka ze śniegu (wiersz). — Grzeczne dzieci. — Strata lalki (wiersz). Odpowiedzi. — Zadania i łamigłówki.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 27 Января 1888 г. Redaktor J. K Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego. Warszawa. Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.